TYGODNIK

POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

Rocznik XII.

WŁADYSŁAW DYNIEWICZ, Wydawca i Właściciel.



CHICAGO, ILLS.

1898.

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[DYN]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 1. Chicago, Ill., Czwartek, 6-go Stycznia, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

I.
Oprycznicy.

Roku od stworzenia świata 7703 a Pańskiego 1565 w gorący letni dzień, 23 czerwca, młody bojar [1]) książę Nikita Romanowicz Srebrny podjechał wraz ze swą drużyną [2]) do wsi Miedwiediewki, znajdującej się w odległości blisko trzydziestu wiorst od Moskwy.

Książę przez całych pięć lat był na Litwie. Posłał go car Jan IV do króla Zygmunta w celu zawarcia pokoju po wojnie, którą podówczas z Polską prowadził. Ale na ten raz wybrał car nie tęgiego dyplomatę. Polacy już gotowi na pewne ustępstwa, wywiedziawszy się od księcia o słabych stronach rosyjskiego państwa, wnet powiększyli swe żądania. Wtedy młody książę nie mógł pohamować swego gniewu, na sejmie uderzył kułakiem w stół i rozerwał przywiezione z sobą do podpisania papiery.

1) Dawny arystokrata rosyjski.

2) Wielcy panowie w Rosyi mieli dawniej swój zbrojny oddział a raczej drużynę, bez której nigdy w drogę nie wyruszali.

Taki gorący postępek w jednej chwili popsuł wszelkie dyplomatyczne kroki Rosyan i Srebrny nie uniknąłby śmierci z rąk Jana, gdyby na swoje szczęście nie otrzymał był tego samego dnia z Moskwy rozkazu zerwania wszelkich pokojowych kroków. Z radością wyjechał Srebrny z Wilna, przemienił aksamitną odzież na błyszczący mundur i począł bić Litwinów, gdzie się dało. Wykazał, że lepszym jest wojakiem, niżeli dyplomatą.

Powierzchowność księcia zupełnie odpowiadała jego charakterowi. Na twarzy więcej przyjemnej niż pięknej malowała się otwartość. W jego ciemnych, szarych oczach z czarnemi dużemi rzęsami, wyczytać było łatwo stanowczość, niepozwalającą mu ani na chwilę zawahać się w krytycznej chwili. Nierówne, najeżone brwi świadczyły o pewnym nieładzie w myślach, ale delikatnie i prawidłowo zagięte usta wyrażały uczciwą i niczem nie wzruszoną siłę charakteru, a uśmiech prawie dziecinną dobroduszność, tak że możnaby go było uważać za ograniczonego, gdyby szlachetność tchnąca z każdego rysu nie ręczyła, że zawsze serce jego odgadnie to, czego rozum objaśnić sobie nie umie. Ogólne wrażenie było po stronie księcia i nabierało się pewności, że można śmiało liczyć na niego tam, gdzie trzeba było stanowczości i siły woli, ale że obcem jest mu zastanawianie się nad swemi czynami i że kombinacye mu się nie udają.

Lat miał mniej więcej dwadzieścia pięć. Wzrostu był średniego. Gęste blond włosy jaśniejsze były od ogorzałej twarzy i stanowiły kontrast z czarnemi brwiami i takiemiż rzęsami, a od krótkiej brody, trochę ciemniejszej od włosów, padał niewielki cień na twarz jego.

Wesoło było teraz księciu i lekko na sercu wracać do domu. Dzień był jasny, słoneczny, jeden z tych dni, kiedy cała natura oddycha czemś świątecznem. Kwiaty zdają się jaskrawszemi, niebo bardziej niebieskiem, powietrze płynie w dali przezroczystemi smugami i człowiekowi robi się tak błogo jakby dusza jego sama zjednoczyła się z otaczającą go do koła przyrodą i kołysała się na każdym listku, na każdej trawce.

Jasny był dzień czerwcowy, ale dla księcia, po pięcioletnim pobycie na Litwie, wydawał się jeszcze jaśniejszym. Nie dojeżdżając jeszcze do wsi, Srebrny i ludzie jego usłyszeli wesołe pieśni, a im podjeżdżali bliżej, przekonywali się, że we wsi musi być święto. Na obydwóch krańcach ulicy, chłopcy i dziewczęta utworzyli dwa koła i nieśli po jednej brzózce, w każdem kole, upiększonej pstremi gałgankami. Na głowach chłopcy i dziewki nieśli zielone wianki. Chóry śpiewały to oba razem, to na przemian, raz jeden potem drugi. Przy wjeździe do wsi stary strzemienny księcia, który jechał za swym panem, zrównał się z nim.

— Widzisz batiuszka [1]) *kura ich rodziła!* — powiedział wesoło — jakto oni pięknie obchodzą Agrafenę Kupalnicę [2]). Należałoby tutaj odpocząć, konie się pomęczyły, a nam samym podjadłszy, będzie weselej jechać.

— Eh! już nie daleko do Moskwy — odrzekł z niechęcią książę, ale gdy sługa bardziej zaczął go prosić, — dobrze — rzekł w końcu Srebrny — odpoczywajcie!

— Hej! wy tam! — krzyknął Micheicz zwracając się do jeźdźców (drużyna była pod zwierzchnictwem strzemiennego) zdejmujcie kotły! rozpalajcie ogień!

Wnet wszyscy z siodeł zeskoczyli i poczęli rozwiązywać juki. Książę zesiadł też z konia.

Poznając w Srebrnym człowieka wysokiego rodu, chóry przerwały śpiew, starzy zdjęli czapki i wszyscy stali, oglądając się w zdumieniu, czy mają śpiewać dalej, lub nie?

— Nic sobie z nas nie róbcie, dobrzy ludzie! — powiedział Srebrny — śpiewajcie dalej — miło i nam będzie posłuchać waszych pieśni.

— Bóg zapłać, zacny bojarze — odrzekł stary gospodarz — kiedy Wasza Miłość nami nie gardzi, prosimy pokornie siądź, a my cię miodkiem, jeżeli pozwolisz, poczęstujemy; tak dobry bojarze, wypij na zdrowie. Głupie! — ciągnął dalej, odwracając się do dziewek

1) Dosłownie znaczy ojciec, lecz u Rosyan wyraz ten równa się prawie naszemu "panie".

2) W wigilię św. Jana.

— czyliście się zlękły? czyż nie widzicie, że to bojar ze swoją drużyną, a nie jacyś tam opricznicy. Widzisz bojarze od tej pory, jak u nas w Rosyi nastało opricznictwo, nasz brat wszystkiego się boi; nie ma życia dla biednego człeka! Nawet w święto pij a nie dopijaj! pij a oglądaj się! Jak chmura przylecą ni ztąd ni z owąd, jak śnieg spadną na głowę!

— Jakie opricznictwo? co za opricznicy? — spytał książę.

— A kto ich wie! nazywają siebie ludźmi carskiemi: "My ludzie carscy, opricznicy, a wy chłopi; ziemstwo! Nam trzeba was grabić i obdzierać, a wam cierpieć i kłaniać się" — tak car kazał.

— Co? — wrzasnął Srebrny — car kazał dręczyć naród! Ach opętańcy! cóż oni za jedni? Dla czego tych łotrów nie powiążecie?

— Powiązać opriczników? Eh bojarze! widać z daleka powracasz, że ich nie znasz. Spróbuj no z niemi co zrobić! Niedawno napadło ich dziesięciu na dwór Stefana Michajłowa, ot, na ten dworek, co stoi w końcu wioski. Stefan był w polu, a oni do baby; dawaj tego! dawaj owego! Stara wszystko stawia przed niemi i kłania się. A oni: dawaj pieniędzy! Zapłakała stara, ale cóż robić? otworzyła skrzynię, wyjęła z gałgana dwa ałtyny [1]) podaje ze łzami: bierzcie, tylko żywą zostawcie. A oni mówią: mało! I jak ją wytnie jeden opricznik w łeb, aż baba gruch na ziemię, ani ziewnęła.

Przychodzi Stefan z pola, widzi, leży jego baba z rozbitą głową! nie mógł wytrzymać; dalejże wymyślać na carskich ludzi: Boga się opętańcy nie boicie! A oni mu pętlice na szyję i na wrotach powiesili.

Wściekłość zawrzała w Nikicie Romanowiczu. Serce się w nim wzburzyło.

— Jakto na carskiej drodze, pod samą Moskwą rozbójnicy grabią i zabijają? A cóż na to wasi sołtysi i starości? Jak mogą pozwolić, żeby rabusie mieli się za carskich ludzi?

— Tak — potwierdził chłop — "my ludzie carscy, opricznicy! nam wszystko wolno — a wy jesteście chłopstwem". I starszych mają między sobą ze znakami: miotłą i psim łbem. Widać, że naprawdę muszą być carskiemi sługami.

— Dureń! — krzyknął Srebrny — jak śmiesz opryszków nazywać sługami cara! — "Osobne znaki? Opricznicy co to za słowo? pytał książę samego siebie. "Kto są ci ludzie? Jak przyjadę do Moskwy o wszystkiem doniosę carowi. Niech nakaże ich odszukać; nie daruję im, jak Bóg w niebie, nie daruję!"

Tymczasem śpiewy odbywały się dalej. Chłopi śmiali się do rozpuku; w tem usłyszeli okropny krzyk. Chłopiec lat dwunastu, cały skrwawiony, wpadł między bawiących się.

— Ratujcie! słowajcie! krzyczał, chwytając za poły parobków.

— Co tobie, Wania? Czego ryczysz? Kto cię zbił? czy nie opricznicy?

W mgnieniu oka dwa koła weselących się, zebrały się w jedną kupę, chłopiec ledwie mógł mówić ze strachu.

— Tam, tam — wyrzekł drżącym głosem, za ogrodami pasłem cielęta... oni napadli... poczęli bydło kłuć... szablami rąbać.... przyszła Duńka, zaczęła prosić... oni Duńkę wzięli, zawlekli, porwali ze sobą... a mnie...

Nowe krzyki nie dały dokończyć chłopcu, kobiety biegły z drugiego końca wsi.

— Biada! biada! — krzyczały — opryczniki! uciekajcie! dziewki chowajcie się w żyto! Duńkę i Kasię złapali! złapali! Sergiewnę zabili na śmierć.

W tej samej chwili ujrzeli wszyscy koło pięćdziesięciu jeźdźców z dobytemi szablami. Na czele pędził czarnobrodaty drab w czerwonym kaftanie w rysiej czapce. U siodła miał przywiązaną miotłę i łeb psi.

— Hojda! hojda! — krzyczał — kłujcie bydło! rąbcie chłopów! łapcie dziewki! palcie wieś! Za mną rabiata! nikogo nie żałować!

Chłopi poczęli uciekać, gdzie kto mógł.

— Bojarze, ratuj! — wołali ci, którzy byli bliżej księcia — nie daj nas nieszczęśliwe sieroty! ratuj!

Ale Srebrnego między chłopami już nie było.

— Gdziesz bojar? — spytał stary, oglą-

1) Ałtyn — moneta wartości 6 groszy.

dając się do koła — ani śladu. I ludzi jego nie widać. Pewnie uciekli — ach biada! śmierć nas nie minie!

Herszt w czerwonym kaftanie zatrzymał konia.

— Hej, ty stary chrzanie! tu był chór, gdzie się dziewki podziały?

Chłop kłaniał się milcząco.

— Na brzozę go! — krzyknął czarnobrody — lubi milczeć, niech milczy na brzozie.

Kilku jeźdźców zeszło z koni i zarzuciło pętlicę chłopu na szyję.

— Batiuszki! batiuszki! Nie traćcie serca, puśćcie mnie, nie traćcie starego!

— Aha! starowina język rozpuścił, próżno bracie, na drugi raz nie żartuj. Na brzozę go!

Oprycznicy powlekli chłopa ku brzozie. W tej chwili z za chaty dało się słyszeć kilka strzałów i z dziesięciu pieszych z szablami rzuciło się na oprycznikow a z drugiej znów strony jeźdźcy Srebrnego z krzykiem także napadli na nich. ~ dzi księcia było o połowę mniej, ale uderzywszy z nienacka, odrazu wzięli górę nad nieprzyjaciołmi. Sam Srebrny rękojeścią szabli zrzucił z konia ich herszta. Nie dając mu czasu na zebranie myśli, zeskoczył z siodła, pierś mu kolanem przygniótł i ścisnął za gardło.

— Ktoś ty, łajdaku?! — spytał książę.

— A tyś kto? odpowiedział chrypiącym głosem opryeznik.

Srebrny przyłożył mu lufę pistoletu do czoła.

— Odpowiadaj, potępieńcze, bo cię jak psa zabiję!

— Nie jestem twoim sługą rozbójniku! odpowiedział czarny, nie okazując bynajmniej bojaźni — a ciebie powieszą, żeś śmiał zaczepiać carskich ludzi!

Kurek pistoleta spuścił się, ale na krzesiwku spełzło i czarny został przy życiu.

Książę obejrzał się do koła. Kilku opryczników leżało zabitych, innych ludzie jego wiązali, reszta uciekła.

— Skrępować tego! — powiedział patrząc na zwierzęcą lecz nieustraszoną twarz herszta, nie mógł się wstrzymać od podziwu. — Nie ma co mówić, zuch! — pomyślał książę, szkoda że rozbójnik.

Tymczasem podszedł do księcia jego strzemienny Micheicz.

— Patrz, batiuszka — powiedział, pokazując pęk cienkich i mocnych sznurów z pętlicami na końcu — widzisz, co to oni z sobą noszą; widać, że wies.ać to dla nich nie nowość, kura ich rodziła!

Podczas tej rozmowy kilku z drużyny księcia przyprowadziło do niego dwa konie z dwoma jeźdźcami związanymi i do siodła przymocowanymi. Jeden z jeńców był to starzec z kędzierzawą siwą głową i długą brodą. Towarzysz jego czarnooki, młodzieniec na więcej nic niż na lat trzydzieści.

— A to co za ludzie? — spytał książę. — Dla czegoście ich przywiązali do siodeł?

— Nie my bojarze, lecz rozbójnicy ich skrępowali. Znaleźliśmy ich za ogrodami, przez straż pilnowanych.

— Porozwiązujcież ich i puśćcie!

Uwolnieni więźniowie poczęli wyprostowywać obezwładnione członki, ale nie spiesząc się z korzystaniem ze swobody, zostali, aby patrzeć co się stanie ze zwyciężonymi opryeznikami.

— Słuchajcie łotry! — powiedział książę do związanych opryczników — mówcie, jak śmieliście nazwać siebie carskimi sługami. Co wy jesteście za jedni?

— Czyś ślepy czy co? — odpowiedział jeden z nich. Nie widzisz, kto my? to się rozumie żeśmy carscy ludzie, oprycznicy!

— Opętańcy! wrzasnął książę — jeśli życie wam miłe, mówcie prawdę!

— Ty widać z nieba spadłeś — odpowiedział z uśmiechem czarnobrody, — żeś nigdy opryczników nie widział!

Upór opryczników zastanawiał Srebrnego.

— Słuchaj, zuchu! przemówił do herszta: twój upór mi się podoba, chciałbym ci darować życie, ale jak mi natychmiast nie powiesz coś ty za jeden, jak Bóg w niebie każę cię powiesić.

Czarny dumnie się wyprostował.

— Jestem Maciej Chomiak — odrzekł — strzemienny Grygoria Jukjanowicza Skuratowa Bielskiego i służę wiernie panu swemu i carowi. Jestem opryeznikiem. Miotła, która wisi u mojego siodła, oznacza że wymiatam Ruś, wymiatam zdradę z carskiej

ziemi, a psi łeb, że gryzę wrogów carskich. Teraz wiesz, kto ja jestem, powiedzże i ty jak cię mam nazwać, gdy ci będzie trzeba łeb ściąć?

Książę przebaczył opricznikowi jego harde słowa. Nieustraszoność tego człowieka, widzącego prawie śmierć przed oczyma, bardzo mu się podobała. Ale Maciej Chomiak obraził cara, i tego nie mógł znieść Srebrny. Dał znak swoim sługom. Przyzwyczajeni do posłuszeństwa swemu panu i sami rozdraźnieni hardością złoczyńców, zarzucili im w okamgnieniu pętlice na szyję i gotowi byli uczynić z opricznikami to, co ci chcieli przed chwilą z chłopem zrobić. Wtedy młodszy z jeźdźców, których książę kazał odwiązać od siodeł, podszedł ku niemu.

— Dozwól bojarze powiedzieć słowo.

— Mów!

— Tyś bojarze dzisiaj spełnił dobry uczynek, wyzwoliłeś nas z rąk tych psich dzieci; my chcemy ci dobrem za dobro zapłacić. Widać bojarze dawno w Moskwie nie byłeś; a my wiemy, co się tam dzieje. Posłuchaj nas; jeżeli ci życie miłe, nie każ wieszać tych djabłów. Puść ich i tego czorta Chomiaka także. Nie ich szkoda, lecz ciebie bojarze. A popadną nam w ręce, Bóg świadkiem, sam ich powieszę. Nie ujdą oni nam; tylko ty ich nie wieszaj, niech zrobi to z nimi nasz brat.

Książę ze zdziwieniem spojrzał na nieznajomego. Czarne jego oczy patrzały przejmująco. Ciemna broda pokrywała całą dolną część twarzy, mocne białe zęby połyskiwały nadzwyczajną białością. Sądząc z odzieży, można go było wziąść za jakiego zamożnego chłopa, ale mówił z taką pewnością siebie, iż zdawało się, że tak szczerze chciał ostrzedz księcia, iż ten coraz to uważniej zaczął się wpatrywać w jego rysy. Wtedy zdawało się Srebrnemu, że w nich znajduje odbicie niezwykłego rozumu i pojętności, a wzrok wykazywał człowieka przywykłego do rozkazywania.

— Tyś co za jeden, spytał książę — i dla czego ujmujesz się za ludźmi, którzy ciebie samego przywiązali do siodła?

— Tak bojarze, gdyby nie ty, wisiałbym już może do tej pory. A jednak posłuchaj mnie, puść ich, nie będziesz żałował, gdy przyjedziesz do Moskwy. Tam nie to co dawniej. Nie te czasy! I ja nie od tego, żeby ich wszystkich powywieszać. I bez tych jeszcze się dosyć oprczników na Rusi zostanie. Ale ztąd jeszcze z dziesięciu uciekło i jeżeli ten djabeł Chomiak nie wróci do Moskwy, na nikogo innego jak tylko na ciebie doniosą carowi. A wtedy, biada!

Dowiedziawszy się szczegółowo, gdzie mieszka starosta, kazał swej drużynie odprowadzić tam więźniów, a sam miał jechać dalej z jednym Micheiczem.

— Posyłasz, bojarze, te psy do starosty — powiedział znowu młody nieznajomy — ale wierzaj mi, starosta sam rozwiąże im ręce, lepiej puść ich na wszystkie cztery wiatry. Wreszcie twoja wola!

Micheicz słuchał wszystkiego w milczeniu, i tylko gładził włosy za uchem. Gdy nieznajomy skończył, stary strzemienny podszedł do księcia i pokłonił mu się do pasa.

— Batiuszka — powiedział — być może, że ten młody prawdę mówi — na jedno to wyniesie, starosta puści tych rozbójników, a już jeżeli i ty, z dobrego serca pętlice im darowałeś, za co cię Bóg batiuszka wynagrodzi, to pozwól co najmniej na drogę wsypać im na każdy przypadek po pięćdziesiątce, żeby już więcej nie grabili i nie mordowali — kura ich rodziła!

A wziąwszy milczenie kniazia za zezwolenie, przykazał odprowadzić więźniów na bok, gdzie kara prędko i rzetelnie natychmiast wymierzoną została, nie zważając ani na pogróżki, ani na wściekłość Chomiaka.

— To rzecz najlepsza! — powiedział Micheicz, wracając z wesołą miną do księcia. Z jednej strony to ich nie obraża, a z drugiej będą mieli pamiątkę.

Nieznajomy, zdawało się że sam pochwalał szczęśliwy pomysł Micheicza. Uśmiechnął się, gładząc brodę, lecz wkrótce twarz jego znów stała się poważną.

— Bojarze — powiedział — jeżeli chcesz jechać z jednym tylko strzemiennym, to pozwól i mnie z moim towarzyszem przyłączyć się do ciebie; droga dla nas jedna, a razem będzie weselej. Przytem, kto wie, może znów trzeba będzie robić rękami; ośm rąk wymłóci więcej niż cztery.

Książę nie miał przyczyny podejrzywać nowych towarzyszy. Pozwolił im jechać ze sobą i po krótkim odpoczynku wszyscy czterej puścili się w drogę.

II.

Nowi towarzysze.

W drodze Micheicz nieraz próbował dowiedzieć się od nieznajomych, co oni za jedni, lecz ci zawsze zbywali jego zapytania, nie dając nigdy należytej odpowiedzi.

— Tfu! kura ich rodziła! — powiedział w końcu sam do siebie Micheicz — co za naród! zupełnie jak węgorze; myślisz żeś złapał ich za ogon, a oni myk między palcami.

Tymczasem robiło się coraz ciemniej. Micheicz podjechał do księcia.

— Bojarze — rzekł — czyśmy dobrze zrobili, biorąc ze sobą tych zuchów? Jakoś nic mówić nie chcą, do ładu przyjść z nimi nie można, może to jacy niedobrzy ludzie?

— A choć i nie dobrzy — odpowiedział z niechęcią książe — zawsze ujmą się za nami, jeżeli znowu gdzie spotkamy opryczników.

— Czort ich wie, batiuszka, czy się ujmą! Kruk krukowi oka nie wydziobie, a ja słyszałem, jak mówili między sobą, djabeł wie jakim językiem, ani słowa nie można było zrozumieć a zdawało się że niby po naszemu. Strzeż się bojarze: strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Ciemność się zwiększała. Micheicz zamilknął. Książę milczał także. Obijało się tylko o uszy stąpanie końskie. Jechali lasem. Jeden z nieznajomych zaczął śpiewać, drugi mu wtórował.

Nagle przeraźliwe gwizdnięcie przerwało myśli Srebrnego. Dwaj ludzie wyskoczyli z za drzewa i złapali za uzdę jego konia. Dwaj drudzy schwycili go za ręce, stawić opór było niepodobieństwem.

— Kto jedzie? — spytał gruby głos.

— Babcine wrzeciono — odpowiedział młodszy z nowych towarzyszy księcia.

Ręce trzymające księcia wnet go opuściły, a koń uczuwszy wolność, zaczął znów brykać między drzewami.

— Widzisz bojarze — powiedział nieznajomy podjechawszy do księcia — przecież mówiłem, że we czworo weselej jechać niż we dwójkę! Teraz pozwól że cię przeprowadzę do młyna, a potem się pożegnamy. Tam znajdziesz nocleg i pożywienie dla koni. Do młyna jeszcze ze dwie wiorsty, nie więcej, a potem już niedługo Moskwa.

— Bóg zapłać, zuchy, za przysługę; jak się kiedy spotkamy dam i ja się poznać, że nie jestem niewdzięcznym.

— Nie tobie, bojarze, ale nam być należy wdzięcznym.

— Bóg zapłać wam, a imienia nie powiecie?

— Ja mam imię nie jedno — odpowiedział młodszy, dotychczas jestem: Waniucha Pierścień; później może i drugie przezwisko dla mnie się znajdzie.

Wkrótce przybliżyli się do młyna. Mimo pory nocnej koło się obracało. Na gwizdnięcie Pierścienia zjawił się młynarz.

Młynarz mrucząc pod nosem, odprowadził gości do komory, znajdującej się o dziesięć kroków od młyna, i gdzie pomimo worków z mąką i zbożem było jeszcze dosyć swobodnego miejsca.

Przez ten czas, gdy stary poszedł po łuczywo, Pierścień i towarzysz jego pożegnali się ze Srebrnym.

— A powiedzcież zuchy — spytał Micheicz — gdzie was znaleść, gdyby księciu potrzeba było świadków do dzisiejszej sprawy.

— Spytaj się wiatru — odpowiedział Pierścień — zkąd wieje. Spytaj fali nadbrzeżnej, gdzie mieszka. My jak strzały ostre z cięciwy lecimy: gdzie padnie strzała, tam jej dom. Na świadków — dodał z uśmiechem — nie jesteśmy zdatni dla jego książęcej mości. Ale jeślibyśmy się mieli przydać na coś innego, przychodź staruszku do młynarza; on ci powie, jak odnaleźć Waniuchę Pierścienia.

— Widzisz, kura go rodziła — pomruczał pod nosem Micheicz — jakto on cudnie mówi.

— Bojarze — rzekł Pierścień odchodząc — posłuchaj mnie, nie chwal się w Moskwie, żeś chciał powiesić sługę Maluty Skuratowa, a potem wsypałeś mu pięć-

dziesiątkę.

— Widzisz co wymyślił — zamruczał znowu Micheicz — puść rozbójnika, nie wieszaj rozbójnika i nie chwal się, żeś go chciał powiesić, ho! ho! "powiedziała sroka Jakóbowa: widać to z jednego pola jagoda" kura cię rodziła! Nie bój się bracie — dodał głośno — nasz książę nikogo się nie boi! napluć mu na twego Skuratowa! mój pan jednemu carowi służy.

Młynarz przyniósł zapalone łuczywo i wetknął je w ścianę. Potem przyniósł zupy, chleba i butelkę wódki. W rysach jego było dziwne połączenie dobroduszności i chytrości; włosy i broda były zupełnie siwe, a oczy ciemno szarego koloru; twarz całą pokrywały zmarszczki.

Podjadłszy i pomodliwszy się, książę i Micheicz rozłożyli się na workach.

— Bojarze — powiedział Micheicz gdy zostali sami — zdaje mi się, żeśmy niepotrzebnie tutaj się zatrzymali. Lepiej było jechać do Moskwy.

— Żeby niepokoić lud boży po nocy? złazić z koni i otwierać rogatki na każdej ulicy?

— To i cóż, batiuszka! lepiej odmykać rogatki, niż spać w djabelskim młynie. I czort tych opętańców skusił, żeby zaprowadzić nas mianowicie do młyna! I jeszcze na Iwana Kupałę [1]). Tfu! djabli nadali!

— A cóż, bo ci tu źle, czy co?

— Nie batiuszka, nie źle, i leżeć dobrze, i zupa była dobra, i owies dla koni, tylko to źle, że gospodarz, widzisz, młynarz.

— To i cóż z tego, że młynarz?

— Jakto, że on młynarz? — odpowiedział gorąco Micheicz. — A bo batiuszka nie wiesz, że nie ma młynarza, któryby nie był w stosunkach z nieczystym? A groblę, myślisz, mógłby bez niego usypać? Tak, do dwóch djabłów, kura go rodziła!

— Słyszałem o tem — rzekł książę — ale to nie dosyć, że ludzie tak mówią! A teraz nie ma czasu przebierać, bierz co ci Bóg zesłał.

Micheicz jakiś czas nic nie mówił, potem ziewnął raz, drugi i w końcu spytał już zaspanym głosem:

— A jak ty myślisz, batiuszka, co to za człowiek ten Maciej Chomiak, którego strąciłeś z konia?

— Ja myślę, że rozbójnik.

— I ja tak myślę. A jak myślisz, batiuszka, co to za człowiek ten Waniucha Pierścień?

— Ja myślę, że też rozbójnik.

— I ja tak myślę i tylko ten rozbójnik poczciwszy od tamtego. A tobie jak się zdaje, batiuszka, który rozbójnik uczciwszy, Chomiak czy Pierścień?

I nie czekając na odpowiedź, Micheicz zaczął chrapać. Wkrótce zasnął i Srebrny.

1) Dzień św. Jana 24 Czerwca.

III.

Czary.

Księżyc pokazał się na niebie, gwiazdy pięknie świeciły. Na wpół rozwalony młyn i szumiące koło były oblane srebrzystym blaskiem.

Wtem rozległ się tętent kopyt końskich, i wkrótce rozkazujący głos krzyknął tuż przy samym młynie:

— Hej, czarowniku!

Widać, że nowy przybysz nie przywykł oczekiwać długo, bo nie słysząc odpowiedzi, wrzasnął jeszcze głośniej:

— Hej! czarowniku, wychodź, a nie, to cię w kawałki porąbię!

— Cicho książę, cicho drogi batiuszka — słychać było głos młynarza — teraz my nie jesteśmy sami, zatrzymali się u mnie przejezdni i zaraz do ciebie wyjdę, batiuszka, pozwól tylko kufer zamknąć.

— Ja ci zamknę, ty djabli ożogu! — krzyknął ten, którego młynarz nazwał księciem. — Czyś nie wiedział, że będę dzisiaj, jak śmiałeś przyjmować przejezdnych, precz z nimi ztąd!

— Batiuszka złociutki, nie krzycz! Ja ci mówiłem, że zasze sprawy boją się krzyku, a przejezdnych wygnać nie w mojej mocy i przecież oni nam nie przeszkadzają, śpią teraz, jeśli ty mój drogi ich nie rozbudziłeś.

— No dobrze stary, ale uważaj, jeżeli mnie durzysz, epiejby ci się było na świat nie rodzić! Jeszcze nie wymyślono takiej

kary, jaką ja wtedy dla ciebie wynajdę!

— Batiuszka, zlituj się! co mam robić biedny starzec? co zobaczę to i powiem, a co się później stanie, jest to jedynie w Boskiej mocy. Ale jeżeli twoja książęca mość raczy mnie karać, to lepiej naszej rzeczy nie rozpocznę.

— No, no, stary, nie bój się, ja żartowałem.

Jeździec przywiązał konia do drzewa. Był wysokiego wzrostu i zdawał się młodym. Księżyc igrał na błyszczących klamerkach jego kurtki. Złote kutasy czapki spadły na ramiona.

— Cóż, książę — powiedział młynarz — nauczyłeś się słów?

— I słów się nauczyłem, i jaskółcze serce noszę na szyi.

— Cóż, bojarze, i to nie pomaga?

— Nie — odrzekł ze smutkiem książę — nie, nie pomaga. W tych dniach widziałem ją w ogrodzie. Jak tylko mnie spostrzegła, zbladła, odwróciła się i uciekła do świetlicy.

— Co milczysz stary? Czyż nie masz ziela, lub jakiego korzenia, by ją oczarować? Mów, wyliczaj jakie są tylko czarodziejskie zioła? Mówże! No, czarowniku! A takiego ziela, żeby młoda pokochała starego, nie znasz?

Młynarz zmięszał się.

— Nie znam, batiuszka mój drogi, nie gniewaj się. Bóg świadkiem, że nie znam.

Obadwaj umilkli. Wszędzie było cicho. Tylko koło oświecone księżycem kręciło się i szumiało jak przedtem. Gdzieś tam w dalekim błocie krzyczał derkacz. Sowa czasami zahuczała w gęstwinie lasu.

Starzec i Wiaziemskij podeszli do młyna.

— Patrz książę pod koło, a ja będę zamawiał.

Starzec położył się na ziemi, i jeszcze ledwie dysząc ze strachu, począł szeptać jakieś słowa. Książę patrzał pod koło. Przeszło kilka minut w milczeniu.

— Co widzisz, batiuszka?

— Widzę, niby perły się sypią, niby dukaty błyszczą.

— Będziesz bogatym książę, będziesz ze wszystkich na Rusi najbogatszym.

Wiaziemskij westchnął.

— Patrz jeszcze książę; co widzisz?

— Teraz widać nitki krwawe, jak żyły krwiste, a teraz niby kleszcze, roztwierają się, zamykają.. a teraz...

— Pójdźmy książę, pójdźmy, już dosyć!

— Czekaj! — powiedział Wiaziemskij odpychając młynarza — a teraz niby piła zębata chodzi tam i nazad... a z pod niej niby krew tryska.

Młynarz chciał odciągnąć Wiaziemskiego.

— Czekaj, stary, nie dobrze mi; słabo mi w członkach... oh słabo...

Książę sam odskoczył. Zdawało się, że zrozumiał swoją wyrocznię.

Długo obaj milczeli. W końcu Wiaziemskij powiedział:

— Chcę się dowiedzieć, czy kocha drugiego?

— Masz bojarze jaką jej rzecz?

— Oto co znalazłem przy furtce.

Książę pokazał niebieską wstążeczkę.

— Rzuć pod koło!

Wiaziemskij rzucił.

Młynarz wyciągnął z za pazuchy gliniany gąsiorek i podał go księciu, mówiąc:

— Łyknij.

Wiaziemskij łyknął. W głowie mu się zakręciło, w oczach, zrobiło ciemno.

— Patrz teraz, co widzisz?

— Ją, ją!

— Samą?

— Nie, nie samą: Ich dwoje... z nią blondyn, w karmazynowym kaftanie, tylko twarzy jego nie widać. Poczekaj! o, są coraz bliżej siebie. Piekło! całują się! Przekleństwo! Bądź przeklęty czarowniku! bądź przeklęty, przeklęty!

Książę rzucił młynarzowi garść pieniędzy, odciągnął od drzewa uzdę swego konia, wskoczył na siodło, — zatętniały w lesie końskie kopyta. Potem tętent ucichł w oddaleniu, i tylko koło wśród nocnej ciszy kręciło się i huczało.

———

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MŁYNARZ I JEGO DZIECKO,

— CZYLI —

WĘDRÓWKA DUCHÓW W NOCY BOŻEGO NARODZENIA.

POWIEŚĆ, OSNUTA NA TLE PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

I.

Widownią naszego zdarzenia było księztwo cieszyńskie na Szlązku austryackim niedaleko źródeł Wisły, która w dalszym biegu niejedne piękne miasto, niejedną miłą wioskę szemrzącymi falami opływa. Zdala od gwaru głównego miasta Cieszyna leżała blizko wzgórz karpackich przed okiem wędrowca gajem drzew owocowych ukryta samotna cicha wioska Zielonka. "Pokój ludziom na ziemi!" rozlegało się wśród ciszy wieczornej, kiedy uroczysty głos dzwonu wiejskiego kościoła na "pozdrowienie anielskie" brzmiał dźwięcznie w powietrzu. Górskie strugi torowały sobie tu i owdzie drogę w równinę, tworząc malownicze wodospady i użyzniając dolinę świeżą kryształową wodą.

Na samym krańcu pięknego sioła stała na stoku pagórka mała, skromna chatka, przedstawiająca się jednak korzystnie zewnętrzną czystością. Okna chaty, umyte i przejrzyste patrzały wesoło na piękny świat Boży — tuż przy chacie widać było stajenkę, a w niej trzy ładne krówki. Właścicielką tej ustronnej zagrody była sędziwa już Toporkowa, wdowa po dzierżawcy. W chwili rozpoczęcia się naszej powieści siedziała ona cichutko z nabożnie złożonymi rękoma nad rozwartym "Ołtarzem złotym". Właśnie przebrzmiał wieczorny głos dzwonu na wiejskim kościółku i tylko jeszcze słaby jego ostatni odgłos, niknąc drgał w powietrzu; a cnotliwa wdowa, wierna długoletniemu pobożnemu zwyczajowi zakończyła i dzisiaj dzienną robotę serdeczną modlitwą do Pana nad pany.

W tem dały się nagle słyszeć ciężkie kroki na żwirowej ścieżce, wiodącej do chaty. Wstała tedy Toporkowa i pospieszyła z kagańcem w ręku otworzyć drzwi przybyszowi.

"Matulo, droga matulo!" — zawołał tenże, wszedłszy do chaty i w tej samej chwili oplótł obiema rękami jej szyję.

Niespodziewanym przybyszem był nie kto inny, tylko jej syn, powracający z obczyzny... A przecież na jego widok wypuściła Toporkowa z ręki kaganiec i usunęła się na stojący w pobliżu stołek z poręczami!

Przybyły jej syn był to rosły, urodziwy młodzieniec o bardzo bladej twarzy. Oparł on zaraz kostur w kącie izby, zrzucił z siebie tłumok podróżny, a zbliżywszy się do matki, siedzącej ciągle jeszcze nieruchomo na stołku zawołał: "Jakże kochana matulu! czy ciebie mój powrót ucieszył, czy zatrworzył? Zdaje się mi: i jedno i drugie! Kochająca matka nie może o dziecku zapomnieć; a mimo to mój niespodziany powrót zafrasował cię mocno. Powstań teraz matko!"

"Jużci nie spodziewałam się jeszcze twego powrotu; wszak mi przyrzekłeś, że wytrwasz w obczyźnie tak długo, ażby blada Halka, jedynaczka bogatego młynarza Widlarza wyszła za mąż. I cóż cię do tego nakłoniło, że wbrew obietnicy sobie samemu, mnie, a wreszcie mieszkańcom młynówki swym nieusprawiedliwionym powrotem największe zmartwienie i kłopot spra-

wiasz? Młynarz jest twoim wrogiem, odkąd się dowiedział, że utrzymujesz stosunek z jego córką, bo choć jesteś dzielnym młynarczykiem, który za dwóch robić potrafi, mimo to odprawił cię ten sknera. Możesz być tedy pewnym, że swą córkę chowa tylko dla syna bogatych rodziców. Obiecałeś mi wydalić się ze wsi, albowiem codziennie musiałam słyszeć wyrzuty młynarza, obiecałeś pójść w daleki świat i pierwej nie wracać, ażby ci matka napisała, że twoja Halka wyszła za mąż!"

Wiesław przerwał tutaj nagle matce: "Przestań matko! nie wymawiaj tego słowa.... Halka — żona innego? O matko! porodziłaś mnie w niewymownych boleściach; a przecież one nie mogą iść w porównanie z tymi, które me serce rozdzierają. Czy się z rannym brzaskiem biorę do roboty, czy z nadchodzącym wieczorem szukam pokrzepienia w śnie nocnym — Halka jest moją jedyną myślą. Prawdać matulo, dla ciebie poszedłem w świat, dla ciebie postanowiłem zapomnieć o Halce, znosić po mężku z chrześciańską cierpliwością wszelkie boleści i męczarnie duszy. Pracowałem jak olbrzym tak, że me spieczone czoło strugi potu zlewały. Z czasem chciałem przytłumić w duszy strapionej okrzyk boleści — ale się nie udało. Uciekałem się do modlitwy — napróżno! szukałem i mieszałem się do wesołych towarzystw — daremnie: mnie zaprzątała wszędzie i zawsze jedna i ta sama myśl; a tą myślą była moja Halka! Niepodobna wyjść człowiekowi z samego siebie; we dnie i w nocy, przy pracy i we śnie widziałem blady obraz Halki przed sobą i zdało się mi, że ona do mnie mówi: "Wiesławie, Wiesławie, ratuj mnie!" Więcej niż rok opierałem się stale donośnemu głosowi; atoli w ostatnim czasie niby mi skrzydła urosły, a ptaki przelotne, które także w tych dniach rodzinne miejsce i dawne gniazdo znowu odwiedzają, pociągały mnie z niepowstrzymaną siłą ku domowi, abym mógł znowu oglądać ciebie i oblubienicę mego serca." Szczera spowiedź tak dalece wzruszyła Wiesława, iż dla opamiętania się do okna przystąpił; a otworzywszy je wychylił się rozmarzony w zmrok chłodnej listopadowej nocy. Wreszcie zbliżyła się do niego matka, a ująwszy go lekko za rękę i patrząc mu z serdecznem współczuciem w oczy przerwała milczenie: "Drogie dziecko, tyś chory o! bardzo chory, a przecież pobyt w rodzinnem miejscu nie może uleczyć twej choroby — owszem on ją tylko z dniem każdym pogorszy. Nie ma też i roboty w miejscu dla ciebie: w całej okolicy tylko Widlarz młyn posiada — on sam, jak o tem wiesz, jest twoim śmiertelnym wrogiem i wyszczułby cię psami z domu. Nie pozostaje ci nic innego, jak tylko powrócić znowu w obczyznę!"

Wiesław usadowił matkę na stołku, a przysiadłszy się sam do niej odrzekł: "Posłuchaj tylko, matulo, o mym planie. Wszak posiadasz chatkę, a więc mi nie braknie przytułku. Jużci zarobek z mleka i cieląt zaledwo starczy do twego własnego wyżywienia — ale popatrz, co z sobą przyniosłem!"

Mówiąc to wydobył Wiesław z kieszeni pełny worek pieniędzy i tak dalej mówił:

"W ciągu 18 miesięcy, jak tu nie byłem, zaoszczędziłem sobie 50 talarów; ładny to pieniądz w każdym razie i pozwoli mi rozpocząć coś porządnego. Zakupię u sąsiada rolę, oprawię ją w pocie czoła, a tak, sądzę, damy sobie radę — nie braknie nam nigdy chleba. W czas wolny będę grywał na fletni, a o wieczornym zmroku podejdę pod okna mej Halki i zagram jej ulubioną pieśń: "Kto się w opiekę podda Panu swemu" .. Wiem dobrze, że z całego serca podziela mą miłość — cierpi ona z pewnością nie mniej odemnie: łagodne tony mej fletni ukoją cudownie jej tęsknotę." Po chwili milczenia dodał: "Nie tracę jeszcze wszelkiej nadziei, jestem przekonany, że Halka nie poślubi innego mężczyzny: jest ona jedyną spadkobierczynią starego młynarza; a kto wie, jak długo on żyć będzie... Jest on cierpiący i w późnym wieku, a śmierć nieraz jednej nocy przychodzi, czasem i wcześniej!"

Matka spojrzała na syna z przestrachem i cofnąwszy się w tył o krok zawołała: "Straszny z ciebie człowiek, mój synu, iż się możesz spodziewać zostać szczęśliwym przez śmierć bliźniego. O, to grzech, to zbrodnia! Niechaj o tem drugi raz nie po-

słyszę, pamiętaj, mój synu, a teraz dobra noc!"

Rzekłszy to wzięła Toporkowa kaganiec ze stołu i udała się do sypialni.

Wiesław patrzał smutnym okiem za matką; bolało go to, iż nawet ona, która go pod sercem nosiła, sprzeciwia się jego skłonności. W rozpaczy tarł sobie czoło, potem zbliżył się do okna, westchnął ciężko w ciemną noc głuchą; a przystąpiwszy nagle z jakiem postanowieniem do stołu, na którym jego tłumok leżał, włożył go na siebie, wydobył fletnię i pospieszył z domu na drugi kraniec wsi ku burzącemu młynowi, który w sobie mieścił jego serdeczną Halkę i jej znienawidzonego ojca — sknerę.

———

II.

Na drugim końcu sioła zbierały się w dolinę spływające wody w jednę potężną strugę, wypełniającą obszerną sadzawkę, której odpływ tworzył znaczny wodospad, rozlegający się w nocy zdaleka donośnym szumem. Poniżej tego wodospadu znajdował się piękny młyn, należący do bogatego Marcina Widlarza. Ochoczo obracały się koła na osiach, wesoło rozlegało się nieustanne łopotanie młyńskich trybów wśród uroczystej ciszy jesiennej przyrody.

Wejdźmy do młynówki, u której zajadle i nieustannie szczeka brytan. Oprócz czeladzi sama rodzina składa się tutaj tylko z kilku członków. Sam stary młynarz jest osobliwszym oryginałem i posiada tylko jednę córkę, którą Czytelnik już zna i jej ciotkę, owdowiałą wójtową, która domem zarządza.

Co się działo w sercu Halki poznamy z jej rozmowy z ciotką: "Wybij sobie z głowy, drogie dziecko!" — mówiła wójtowa — "ponure myśli. Twoja nieustanna tęsknota zapędzi cię przed czasem do grobu. Musisz o cierpieniu zapomnieć tak, jak on o tobie zapomniał. Minął już rok dawno, jak ten człek niewierny odszedł za góry, za lasy — kto wie co się z nim stało? Może się zaciągnął do obcego wojska i przebywa teraz w dalekiej ziemi, a może też już i nie żyje. A więc z poddaniem się spoglądaj w przyszłość, moje dziecko, bo przecierpieć koniecznie potrzeba, czego nie można odmienić."

"Staram się też, kochana ciociu, wszelkiemi siłami:" — odrzekła Halka ze smutnym uśmiechem — "znosić mój los po chrześciańsku; ale moja dola jest zanadto smutna. Wiesław był mi wszystkiem na świecie: uciechą mego dzieciństwa, rozkoszą mej młodości, jednem słowem — on mi cały świat zastępował. I czyżto zbrodnia, że i on mnie nawzajem pokochał — czyż można usprawiedliwić się przed Bogiem i ludźmi, iż go właśnie za to przywiązanie do mnie z rodzinnego miejsca w obcy, obojętny świat wypchnięto? Tuła się teraz biedak z miejsca na miejsce bez chwili odpocznienia, równie jak ja sama! Wiedz bowiem o tem ciociu! mówi mi jakiś głos wewnętrzny, że Wiesław pozostał dla mnie wiernym; że jego przywiązanie do mnie bieg czasu nie oziębił; owszem to przywiązanie ciągle u niego wzrasta!" Zaledwo te słowa Halka wymówiła, zalała się biedaczka rzewnemi łzami.

Ciotka, która szczerze podzielała boleść Halki, milczała w zasmuceniu i usiadła przy kołowrotku. Za jej przykładem poszła wkrótce i Halka; koła zaturkotały niebawem wesoło, lecz nie mogły zagłuszyć ciężkich westchnień, wydobywających się z piersi nieszczęśliwej kochającej dziewczyny.

Wtem zajechała przed dom bryczka. Ciotka pobiegła do okna i otwarłszy je zawołała z radością: "To on, to on!"

Potrzeba Czytelnikowi wiedzieć, że ona żywiła nadzieję, iż gdyby się udało, skłonić Halkę do zamążpójścia, jej serdeczna rana wtenczas by się powoli zabliźniła. A oto młody piwowar z doliny Barłuch dopytywał się skrzętnie o Halkę i oświadczył, iż w jak najkrótszym czasie zjedzie do młynówki prosić o jej rękę.

W istocie też przybył teraz majster Barłuch, tłuściutki, okrąglutki, bardzo dobrodusznie wyglądający mężczyzna dla załatwienia tej sprawy; a ciotka Halki wybiegła go powitać.

Barłuch wszedł do izby, skłonił się zgrabnie Halce i usiadł na stołku, który mu wójtowa wskazała. Odkrząknąwszy kilka

razy zaczął tak prawić: "Kochano panno! pozwól, abym się ci krótko i po prostu, ale po polsku i uczciwie oświadczył. Jakkolwiek się znamy tylko z widzenia, wiem przecie, że jesteś dobrą i obyczajną. I o mnie panna złego nie powiesz, a ponieważ oboje młodzi jesteśmy, sądzę, żebyśmy się oba nadali. Wiem o tem, że ojciec nie chciałby ci narzucić żadnego chudzinę; a ponieważ ja sobie mam dwadzieścia tysięcy bitych talarów, a ty również tyle jako jedyna spadkobierczyni kiedyś otrzymasz, mniemam, iżby się obie te sumki bardzo dobrze z sobą kojarzyły. Panna jesteś łagodna i nabożna, ja nie jestem szulerem, ani marnotrawcą — pracuję dwanaście godzin na dzień jak mój najlichszy parobek, a więc mam nadzieję, iż się pobierzemy".

Gdy Halka milczała, mówił Barłuch dalej: "Jako prawy człowiek zwróciłem się do panny samej, gdyż u ojca twego napróżno pewniebym nie pukał; albowiem on parzy tylko na pieniądze nie zaś — daruj mi panno — na skłonność serca. Oświadczyłem się ci krótko i węzłowato: proszę tedy i mnie swój wyrok krótko i węzłowato wyjawić."

Halka powstała, podała zacnemu człowiekowi rękę i odrzekła z bardzo miłym uśmiechem, lecz nie bez tęsknoty: "Pan jesteś poczciwym człowiekiem, panie Barłuch, powiedz mi pan atoli na prawdę: czybyś chciał brać w dom żonę, któraby ciałem i duszą innemu sprzyjała? Jak człowiek uczciwy pewniebyś pan takiej nie poprowadził do ołtarza!"

Barłuch pochwycił podaną sobie rękę, uścisnął ją i odrzekł: "Halino, z panny jest poczciwa dziewczyna; jej szczerość warta złota, pozostaniemy dobrymi przyjaciołmi, do widzenia się tedy! Rzekłszy to powstał i oddalił się; wójtowa, która się, potrząsając głową przysłuchiwała krótkiej rozmowie młodych, odprowadziła go do bryczki. Za chwilkę wyjechała bryczka z dziedzińca; a ciotka Halki, uboższa o jednę nadzieję powróciła do porzuconego kołowrotka.

Obie niewiasty wzięły się znowu do roboty. Halka starała się wyglądać wesoło; atoli często głębokie westchnienia, wydobywające się z jej piersi świadczyły wymownie, że jej pozorny spokój był wymuszonym.

Nagle dały się w sieni słyszeć stuk i krząkanie, ochrypły śmiech, przerywany gwałtownymi napadami kaszlu; drzwi się odwarły, a do izby wszedł właściciel domu. Był to rosły, chudy, kiedyś może przystojny mężczyzna. Teraz atoli chodził już zgarbiony, jakkolwiek nie więcej nad 60 lat liczył. Głowę jego pokrywały już tylko rzadkie siwe włosy, twarz jego barwy popiołu pokrywały liczne zmarszczki, brwi jego były krzaczaste, siwe oczy, głęboko w głowie osadzone były ruchliwe i błyszczące dzikim ogniem, jak to zwykle bywa u każdego sknery. Nogi miał chude jak bocian, wydające się tem śmieszniej, ponieważ nosił krótkie spodnie. Gospodarz domu miał na sobie burą pluszową kamizelkę i wynoszony kożuszek, który mu widocznie już wiele lat służył.

Kiedy go kaszel opuścił, a on siostrę i córkę ujrzał, siedzące chwilowo bezczynnie przy kołowrotku, krzyknął na nie z gniewem: "A to co, a to co: dziewiąta jeszcze nie biła, a wy już ręce opuszczacie? Siostro! — czy sądzisz, że odrobina pieniędzy, które odziedziczyłaś po nieboszczyku mężu wójcie, potrwa na wieki, albo może myślisz, że ja ci z tego kapitaliku, który u mnie złożyłaś, każę piec kury i gołąbki? Pracować, — pracować — to rzecz główna; z tego zbiera się pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. A czyż może być coś piękniejszego nad pieniądze, błyszczące monetki? ha, ha, ha!" Nowy napad kaszlu przerwał jego mowę, kiedy zaś przeminął, ozwał się młynarz do córki: "Czy to przypadkiem nie był piwowar Barłuch, który dzisiaj wieczór koło młynówki przejeżdżał? Byłem wtenczas w ogrodzie, chcąc zastrzelić nieznośną sowę, która mi co noc nad głową jęczy, i zdawało się mi, że poznałem jego bryczkę. Czy do was nie zajrzał, hę? Stryj jego bowiem mówił mi, że się chce o twą rękę Halko oświadczyć! Hm, byłby to tłusty kąsek — dwadzieścia tysięcy talarów: pieniądze takie nie każdy wytrzęsie z rękawa. Czy nie był u was piwować?"

Halka zrozumiała, jaka się burza nad jej głową zbiera, dla tego też milczała. Prze-

mówiła za nią ciotka, opowiadając młynarzowi, że ich wprawdzie piwowarz odwiedził, ale go Halka z niczem odprawiła.

"Jakto?" krzyknął młynarz w największem uniesieniu — "ty wyrodna nieszczęsna dziewczyno! ty się odważyłaś, dać kosza najzamożniejszemu człowiekowi w całej okolicy, nie poradziwszy się mnie w tym względzie? Nie prawdaż, młody Toporek, ten nędzny nicpoń ciągle jeszcze z głowy tobie wyjść nie może? A gdzie też mój kij! O, gdybym tylko miał jeszcze dawniejszą krzepkość, uśmiercił, zabiłbym cię na miejscu, ty próżna dziewczyno!" Gdy po tych słowach zmęczony młynarz na stołek upadł, przystąpiła doń siostra, tłumacząc mu, iż do uczynienia tak ważnego kroku nikogo zmuszać nie można, że Halka jest jego jedynaczką, a do tego słabowitą i że on po jej utracie byłby osamotnionym na świecie.

To jeszcze więcej rozgniewało młynarza, który drzwi otwarł i za nie ze złością wójtowę wypchnął, mówiąc: "Precz ztąd, stara obłudnico, ty się ośmielasz brać w obronę sprawę tak nędzną? precz, precz mi ztąd natychmiast!"

Wójtowa, która jeszcze nigdy od brata tak surowego i grubiańskiego obejścia nie doznała, osłoniła dla ukrycia łez twarz fartuszkiem i dała się mu bez oporu wypchnąć za drzwi. Rozszalały zaś brat jej zwrócił się teraz do Halki, karcąc ją bez miłosierdzia: "Rozpustna dziewczyno! która przed czasem kopiesz grób ojcu, posłuchaj mego ostatniego słowa: wstaniesz mi jutro raniuteńko i przejedziesz się ze mną do Doliny dla przeproszenia piwowara za krzyczącą, wyrządzoną mu krzywdę. Abyś mi tam zaś nie kaprysiła, powiadam ci; inaczej byłbym w stanie, wydziedziczyć cię i przekląć. Musisz się do piwowara ładnie i skromnie uśmiechać, być wesołą i pokazać mu, że potrafisz być chwacką gospodynią — czy słyszysz?" Nagle chwycił się niecierpliwie za głowę i zawołał: "Boże miły! jak ja tu marnotrawię kosztowny czas i to dla nierozumu szalonej dziewczyny; podróż do Doliny wymaga co najmniej 3 godziny jazdy, a potem te niezmierne koszta! Ileż to trzeba będzie wydać na napitek w browarze, a potem te nieuniknione poczęstne dla służby — jakże się to prędko wydaje talara — te paskudne sługi nie zadowalniają się miedzią, kłują je w oczy moje ładniutkie srebrniaki, hańba tobie nędzna żebracza hołoto".

Sknera skończył kazanie i nastawił nagle uszu... Wśród nocnej ciszy odezwały się łagodne tony fletni — poznała równie jak Czytelnik i Halka nocnego muzykanta i zerwawszy się ze stołka pobiegła do okna z okrzykiem radości: "Boże, to mój Wiesław powrócił!" Atoli teraz też doszedł szał młynarza do szczytu. Rzucił się on do dzwonka u drzwi i cały dom pobudził. "Wypuśćcie psy!" — wrzasnął w niepohamowanym gniewie — "Nerona, Sułtana, Smoka i Żmiję — niechaj rozedrą w kawałki nieproszonego muzykanta. Bierzcie mi, co wam padnie pod rękę i ubijcie nicponia! Kto mi najpierw przyniesie wieść o jego śmierci, ten otrzyma sowitą nagrodę, a co większa, póki żyć będę — będzie moim przyjacielem!"

Michał, najodważniejszy ze wszystkich parobków przekonał się był dotąd dostatecznie o hojności chlebodawcy; dla tego się mu nie spieszyło, a inni tylko niechętnie za nim się ruszyli. Wójt wypchnął ich rozwścieczony na dwór, a jego przekleństwa były w równej sprzeczności z spokojnymi tonami fletni, jak bluźnienie Bogu z modlitwą pobożnych ludzi. Naraz krzyknęła Halka z okna: Stój, stój Michale! przynęć do siebie Żmiję — proszę cię na wszystkich Świętych." Atoli nic więcej nie było słychać oprócz huku, przekleństw i psów ujadania — gędźba na fletni zamilkła!

III.

W chatce owdowiałej Toporkowej panowała głęboka cisza; atoli staruszka zerwała się nagle ze snu, prawdopodobnie wystraszona jakimś niedobrem marzeniem, prawdopodobniej zaś hałasem w oddaleniu. Nie mogąc już na nowo zasnąć udała się ona do sypialni syna, i przekonała się, że jego w nietkniętem łóżku nie było. Zaledwo zaś na prędce kaganiec zaświeciła, posłyszała zaraz za domem szybkie kroki, przekleństwa i wyzywania. Rozwarły się

niebawem drzwi, a do izby wpadł Wiesław w poszarpanej odzieży, z rozczochranym włosem, z bladą jak śmierć twarzą i skrwawionym nożem w ręku... W śmiertelnym przestrachu przyskoczyła do niego matka i zawołała: "Na Boga, Wiesławie, co się stało? Ha, ten nóż krwawy! co uczyniłeś, kogo zabiłeś?" Mdlejący prawie z osłabienia Wiesław upadł na stołek i odrzekł krótko: "Psa matko; on mnie już tak prędko nie ukąsi!"

Matkę, która tych słów nie zrozumiała, taki strach ogarnął nagle, iż pozbawiona przytomności na ziemię runęła.

Tymczasem sprawca tego przykrego zajścia — stary młynarz siedział w domu z zaciśniętymi w kułak rękoma; patrząc dziko w ziemię i czekał skutku swego rozporządzenia. Wieści parobka Michała, który mu z niego wkrótce zdał sprawę, wcale go nie zbudowały!

"Jakto?" — wrzasnął on z zapartym oddechem — Żmija, to wierne zwierzę, które mi przez 10 lat dom i obejścia pilnowało — zabite? Morderstwo, morderstwo w zagrodzie — ha, ty przeklęty łotrze!"

Parobek usprawiedliwiał się natychmiast: "Widzi pan — na jego rozkaz spuściłem psy natychmiast z łańcucha, obskoczyły one Wiesława nie na żarty, ale on, zanimeśmy zdołali do niego się zbliżyć — dobył długiego noża i wepchnął go w pierś Żmii tak, iż brytan z głośnem wyciem na ziemię runął. Rzuciłem się na zuchwalca; atoli on i mnie silnem uderzeniem ręki na ziemię powalił. Powstałem szybko ze ziemi i hajże! na Wiesława z Sułtanem, który się mu na pierś rzucił. Atoli Wiesław chwycił psa za obrożę, podniósł go obiema rękoma w górę i rzucił o ogrodowy parkan z taką siłą, iż psinie żebra zatrzeszczały — skowycząc odbiegł Sułtan. Ja teraz stanąłem przy Wiesławie; ale on błysnął mi przed oczyma nożem, wołając: "Rusz mnie tylko, a natychmiast cię zakłóję, Cofnąłem się naturalnie na widok strasznej broni; lecz kiedy mi inni parobcy na pomoc przyskoczyli, rzuciłem olbrzymim kamieniem za coraz szybciej uciekającym łotrem — niestety, nie trafiłem go. Teraz dopiero rozpoczęło się na dobre polowanie. Uzbrojeni w cepy i widły, zarzucając go gradem kamieni pędziliśmy za nim — atoli ten hultaj umykał, broniąc się tak szybko, iż niebawem stanął u drzwi swej chaty. A ponieważ właśnie nadbiegł na to stróż nocny — musieliśmy uciekać do domu. Poczekajcie atoli majstrze, zejdę ja się jeszcze kiedy z tym łotrem, a wtenczas go zakłóję, chociażbym miał wisieć na szubienicy..."

Młynarz rozśmiał się szydersko z tej próżnej, niewczesnej pogróżki sługi i nie mogąc rzeczy zmienić udał się niezadowolony do sypialni na spoczynek. Już nazajutrz z rannym brzaskiem wstał złośliwy sknera w różowym humorze i udał się zaraz do izdebki Halki, która tutaj po widocznie bezsennej nocy siedziała jakby istna męczennica: była spłakaną; a jej czerwone, obrzękłe, łzami zaćmione oczy utkwione były w obrazie ukrzyżowanego Zbawiciela. Niegodziwy jej ojciec starał się być dla niej uprzejmym. "Kochane dziecko!" — mówił do niej — "dzisiaj wieczorem będziesz narzeczoną i to jaką jeszcze? — najładniejszą z całej okolicy, a nadto najbogatszą!" Ponieważ mu atoli Halka śmiało oświadczyła, iż nigdy za mąż nie pójdzie, ponieważby nie chciała obciążać sumienia krzywoprzysięstwem u ołtarza — niedobry ojciec to czerwieniał, to bladł ze złości, a potem zawołał: "Słuchaj dziewczyno! jeśli Wiesław do jutra nie wyniesie się z naszej doliny — ja ciebie zakłóję bez miłosierdzia." Skoro się Halka tej strasznej pogróżki nie ulękła, ale zaręczała, iż sobie śmierci życzy, zaczął chytry starzec znowu ją prosić i błagać. A kiedy to nie pomogło, rozprawiał powtórnie o przekleństwie, wydziedziczeniu itp. i tak wymógł na biednej Halce, iż mu obiecała uczynić wszystko do skłonienia Wiesława, aby rodzinną wieś opuścił. Zabrała się też zaraz do listu, w którym prosiła oblubieńca, aby się z Zielonki wydalił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

OSOBY.

BARTŁOMIEJ, młynarz.
DOROTA, jego żona.
BASIA, córka młynarza z pierwszego małżeństwa.
WAWRZYNIEC, zagrodnik.
STACH jego syn, kochanek Basi.
JONEK, przyjaciel Stacha.
PAWEŁ, } Państwo młodzi.
ZOSIA, }
BARDOS, student z Krakowa.
BRYNDUS }
MORGAL } Górale.
SWISTOS }
MIECHODMUCH, organista.
PASTUCH.
STARA BABA.
(Krakowiacy. Krakowianki. Górale. Góralki. Lud.

(Rzecz dzieje się w Mogile, o milę od Krakowa).

ODSŁONA I.

SPRAWA I.

(Teatr przedstawia z jednej strony chałupy wiejskie, wpośród nich widać karczmę z wystawą, po drugiej stronie pod laskiem młyn i rzeka, na której stoi mostek, w głębi widać wieś Mogiłę, kościół, i grobowiec Wandy. Jonek siedzi na wierzbie i spogląda ku Wiśle. Stach biega niespokojny).

DWUŚPIEW.

Stach.

Cós Jonku, nic tam nie widzis.

Jonek.

Nic wcale, prózno się bidzis.

Stach.

Patsaj jeno miły Jonku,
Patsaj dobze, pseciw słonku,
Bo słysałem, ze dziś wcale
Mają psypłynąć górale.
O niescęście tes to moje,
Jakze ja się tego boję!

Jonek.

Nie lękaj się miły Stachu,
Wsakci nie umzem od strachu,
Toć górale nie są carci,
A jeźli będą uparci,
Tak ich tu gracko wyćwicem,
Ze się musą wrócić z nicem.

Stach.

Ale, jak mi porwą Basię?

Jonek.

Jesceć im, od tego zasię,
Ale cicho, coś spod góry
Płynie, kieby dwaj gąsiory

Stach.

Ach, to oni pewniusienko.

Jonek.

Nie inacej, mój Stasienko,
Teras widzę doskonale,
Zeć to oni są górale.

(Skacze z drzewa).

Stach.

Cós tu cynić?

Jonek.

Cós pocniewa?

(Myślą).

Stach.

Oto do ojca pójdziewa,
I, nim górale psypłyną,
Padniem mu do nóg z dziewcyną,
I opowiem moje chęci.

Jonek.

Ja w tem za druzbę słuzę ci.

(Razem).

Idźma, wsak on nie ze skały
Wzrusy się na (*twe*) (*me*) zapały,
Wsak on kiedyś w młodym wieku,
Musiał tes doznać nieboze,
Jak to wej doskwiera cłeku,
Kiej do swej lubej nie moze.

(Odchodzą obadwa).

(Stach zatrzymuje się przed samym młynem).

Stach.

Ach, nie mogę mój Jonku, jakoweś mnie mory
Psechodzą i drzę cały.

Jonek.

Zwycajne, jamory
Nieśmiałym cłeka cynią, ośmielze się psecie.

Stach.

Wiem ja, ze młynaz, dusa najlepsa na świecie,
Ale jego zonecka, oj ta, zadną miarą
Nie pozwoli wej na to, wsak wies miły bracie,
Ze go tak osiodłała, jak kobyłę starą;
W ustawicnej nieborak zyje tarapacie.

Jonek.

Dobze mu tak, na co stary ozenił się z młodą?
Posed wej i on za modą.
Chciał pewnie, azeby go sąsiedzi chwalili,
Zeby go, jak po miastach, karmili poili,
Byle tylko wstęp mieli do ładnej zonecki:
Myślał, ze złoto złapie, dziś ma torbę siecki.
Jak tylko Pani Dorota
Wlazła w dom, zaraz niecnota,
Starca zawojowała i córkę mu gryzie;
A sama jak zobaczy zwawego chłopaka,
To tak do niego lizie,
Kieby smoła jaka.

Stach.

Otós to, miły Jonku, moja bida cała,
Pani młynarka, tak się we mnie pokochała,
Ze kaj mie tylko spotka w oboze, cy w gumnie,
Zaraz chce całusa u mnie.
Ongi, jak mnie pod stogiem siana psycapiła,
Tak mię ściskała niecnota,
Ledwie mnie nie udusiła.

Jonek.

Cy tak? no, wejcie to ta
Psycyna, ze ci Baśki nie chce dać za zonę;
Wies ze co, to psed Bartkiem oskarzemy onę,
A tak się wsyćko skońcy.

Stach.

Oj nie, miły Jonku,
Nie psycyniajmy prózno staremu frasunku,
Mógłby się na śmierć zagryść, gdyby lepi,
Męzowie na swych zonek figle, byli ślepi,
Więcejby spokojności między ludźmi było.

Jonek.

Mów racej, ze rozpustniejby się jesce zyło
Ale wies co, te wsytkie matki korowody
Są furdą, jezeli mas słowo panny młody.

Stach.

Ej Basiać mnie lubuje, i tak powiedziała
Ze nie chce tego drągala, Górala,
Którego jej macocha, za męza obrała:
Tylko, ze ociec stary, zapewne mu słowa
Zechce dotsymać, bo tu jus dawna umowa,
Między niemi stanęła. Ach otós jus płyną
Górale, i Bryndusa zaręcą z dziewcyną.
Ja się zabije Jonku, jeźli ją postradam.

Jonek.

Cekajno, niech ja wpsódy z młynazem pogadam,
Kto wie, moze go jako w zdaniu pseonace,
Gdy mu nase racyje dobze wyonacę,
Psecies to co swój, to swój, na cós tu obcego,
Kiej haw mamy i w domu, rodaka swojego.

(Ciąg dalszy nastąpi).